**Janko Muzykant - Henryk Sienkiewicz**

Przyszło to na świat wątłe, słabe. Kumy1, co się były zebrały przy tapczanie położnicy2, kręciły głowami i nad matką, i nad dzieckiem. Kowalka Szymoncwa, która była najmądrzejsza, poczęła chorą pocieszać:

-Dąjta - powiada - to zapalę nad wami gromnicę, juże z was nic nie będzie moja kumo;

już wam na tamten świat się wybierać i po dobrodzieja by posłać, żeby wam grzechy wasze odpuścił

- Ba! - powiada druga - a chłopaka to zara trza ochrzcić;

on i dobrodzieja nie doczeka, a - powiada - błogo będzie, co choć i strzygą się nie ostanie.

Tak mówiąc zapaliła gromni­cę, a potem wziąwszy dziecko pokropiła je wodą aż poczęło oczki mrużyć, i rzekła jeszcze:

—Ja ciebie „krzcę” w Imię Ojca i Syna, i Ducha Świętego i daję ci na przezwisko Jan, a terazże duszo „krześcijańska” , idź, skądeś przyszła. Amen!

Ale dusza chrześcijańska nie miała wcale ochoty iść skąd przyszła i opuszczać chuderlawego ciała, owszem, poczęła wierzgać nogami tego ciała, jako mogła, i płakać, choć tak słabo i żałośnie , że jak mówiły kumy „myślałby kto, kocię nie kocię albo co!"

Posłano po księdza; przyjechał, zrobił swoje, odjechał, chorej zrobiło się lepiej. W tydzień wyszła baba do roboty. Chłopak ledwo „zipał”, ale zipał; aż w czwartym roku okukała kukułka na wiosnę chorobę, więc się poprawił i w jakim takim zdrowiu doszedł do dziesiątego roku życia.

Chudy był zawsze i opalony, z brzuchem wydętym, a zapadłymi policzkami; czuprynę miał konopną5, białą prawie i spadającą na jasne, wytrzeszczone oczy, patrzące na świat w jakąś dalekość wpatrzone. W zimie siadywał za piecem i potakiwał cicho z zimna, a czasem i z głodu, gdy matula nie mieli co włożyć ani do pieca, ani do garnka; latem chodził w koszulinie przepasa­nej krąjką6 i w słomianym „kapalusie”, spod którego obdartej kani7 spoglą­dał, zadzierając jak ptak głowę do góry. Matka, biedna komornica8, żyjąca z dnia na dzień niby jaskółka pod cudzą strzechą, może go tam i kochała po swojemu, ale biła dość często i zwykle nazywała „odmieńcem". W ósmym roku chodził już jako potrzódka9 za bydłem lub, gdy w chałupie nie było co jeść, za bedłkami10 do boru. Że go tam kiedy wilk nie zjadł, zmiłowanie Boże.

Był to chłopak nierozgarnięty bardzo i jak wiejskie dzieciaki przy rozmowie z ludźmi palec do gęby wkładający. Nic obiecywali sobie nawet ludzie, że się wychowa, a jeszcze mniej, żeby matka mogła doczekać się z niego pociechy, bo i do roboty był ladaco11. Nie wiadomo, skąd się to takie ulęgło, ale na jedną rzecz był tylko łapczywy, to jest na granie. Wszędzie tez je słyszał, a jak tyto trochę podrósł, tak już o niczym innym nie myślał. Pójdzie, bywało, io boru za bydłem albo z dwojakami12 na jagody, to się wróci bez jagód mówi szepleniąc:

— Matulu! tak ci coś w boru „grlało”. Oj! Oj!

A matka na to:

—Zagram ci ja, zagram! Nie bój się!

Jakoż czasem sprawiała mu warząchwią13 muzykę. Chłopak krzyczał, obiecywał, że już nie będzie, a taki myślał, że tam coś w bora grało... Co?